ROK CZWARTY.

—

№ 19.

WARSZAWA

D. 26 kwietnia (8 maja)

1859.

Niedziela

2ga po Wielkiej nocy.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnéj Nr. 1527.

Prenumerata rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie kop. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Boże, któryś przez upokorzenie się syna twojego podźwignął świat w zagubę zagrzęzły, racz udzielić twym wiernym ustawicznej radości, aby ci, których od wiecznej śmierci ciosów ratowałeś, nieskończonem weselem z dobroci twojej się nasładzali. (Kollekta na Niedzielę 2gą po Wielkiej nocy).

Poniedziałkowanie. (1)

—

Miłem jest i poważnem nasze stare miasto; tyle w niem dziejów przebrzmiało, tyle ludzi przeminęło. Wysokie domy, a na piętrach najwyższych wszystkie zamieszkałe, bo drogie komorne, a klassa rzemieślnicza, zwłaszcza czeladź żonata, przymuszona często mieszkać w środku miasta; dlatego tu po kilka familij mieści się po piętrach owych wysokich domów.

W jednym z nich, na czwartem piętrze mieszkało w jednej izbie z alkierzem, trzy familie czeladzi krawieckich. Wnętrze domu, wnosząc z pochyłych schodów, poręczy bez wielu szczebli i ogólnego zaniedbania, odróżniającego się od składu trzech piętr niższych, zapowiadało niedostatek. Byłato izba z małą alkową, niegdyś pobielana, ale dziś już jej ściany poczerniały. Sprzęty domowe ubogie, a przy całym nieładzie, brudnej pościeli i przytłumionem świetle wdzierającem się przez podwójne choć to latem okno, przez szyby zakopcone, pozalepiane papierem, przedstawiały obraz ubóstwa.

Przejdźmy teraz do alkowy. Ta była zupełnie inną: podłoga czysta, ściany świeższe, ubogie sprzęty ale schludne i czysta pościołka. Kilka obrazów przedstawiających Chrystusa i Świętych pańskich ożywiały wnętrze, a słoneczko przez jasne szyby pojedyńczego okna zdawało się uśmiechać do tego zakątka cichego szczęścia.

Poznajmy teraz bliżej mieszkańców tego tak różnego gospodarstwa.

W pierwszej izbie mieszkali Jan i Piotr czeladź krawiecka, obaj żonaci, mający po dwoje dzieci. Oba jednego sposobu myślenia, zdatni robotnicy, lecz nieszczęściem ludzie trunkowi. Odebrawszy w sobotę lub w niedzielę

(1) Artykuł ten nadesłał Redakcyi pan K. B. majster krawiecki.

zapłatę tygodniową, popłaciwszy długi w sklepiku za chleb, sól i inne artykuły żywności, resztę pieniędzy obracali na hulatykę; nigdy w poniedziałek nie szli do warsztatu, czasem i z wtorkami się to przytrafiało, resztę zaś dni znowu kredytem opędzali. Żony ich może zepsute przykładem mężów, niewiele przyczyniały się pracą swą do szczęścia wspólnego, a hulatyki chętnie dzieliły ze swymi mężami.

W alkowie mieszkał Paweł brat Jana, ze swą żoną, która znów była siostrą Piotrowej, i Pawłowie, lubo zupełnie innego sposobu myślenia, mieszkali jednak razem ze swymi nieoględnymi krewniakami. Niejednokrotnie odwodzili ich od złego, czuwali nad nimi i zawsze mieli nadzieję doczekać się ich upamiętania; tymczasem nieoględnym lata upływały i siły ich rujnowały się, niemoc, starość i nędza podwójnym do nich zbliżały się krokiem... ztądto może większa część żebraków; i niestety! taki los zapewne czeka niejednego dziś mniej bacznego o swą przyszłość. Paweł nie znał kredytu. Z każdej soboty odkładał jakiś grosz do Kassy oszczędności, w niedzielę nie opuszczał kościoła, wieczorem zaś szedł z żoną i małym synkiem na spacer i powracał wcześnie do domu; nazajutrz znów oddawał się wesoło pracy i tak dnie upływały mu wśród pracy i przyjaźni dobrych ludzi za którą szło i błogosławieństwo Boże.

Zbliżało się właśnie południe, w poniedziałek miesiąca lipca roku 1853, gdy Piotrowa, Janowa i Piotr byli w swej izbie i oczekiwali przybycia Jana.

— Nie przychodzi, mówi Piotr, może on tam bawi się gdzie i o nas nie pomyśli.

— Przybędzie niezawodnie, przerwała Janowa. Wczoraj straciliśmy wprawdzie wszystkie pieniądze, i dziś nie byłoby za co *poniedziałkować*, ale przecie mój Jan przyrzekł wystarać się o pieniądze, to i dotrzyma słowa; widać, że mu trudno, bo go tak długo niema, ale zawsze bądźcie spokojni. Dziś rano myśląc, zkądby dostać grosza, odrazu klasnął w ręce i zawołał: otóż mam pieniądze, będziemy dziś na Saskiej Kępie, i prawdziwie ucieszony wyszedł spiesznie z domu.

— Jakto drudzy nie umieją żyć na świecie, mówi Piotrowa... ci Pawłowie ani to użyją, w poniedziałki pracują, grosze zbierają i tam gdzieś do Kassy oszczędności co tydzień zanoszą; szkoda butów drzeć, aby tam chodzić. Dobrze, mówi dalej do swego męża, żeś ty Piotrze zaraz ztamtąd odebrał pieniądze; przez kilka tygodni składałeś i jakiż był procent? ni to ni owo, czy nic podobno.

— A mojemu mężowi, przerwała Janowa, to podobno przepadło, bo to oddawał tam komuś, ażeby wspólnie składał. Wszystko podobno z namowy Pawła.

— W rzeczy samej, mówi Pawłowa, słysząc tę rozmowę z alkowy, gdzie była zajęta szyciem bielizny, w rzeczy samej, Piotrowi nie mógł urość procent od kilku złotych przez parę tygodni, a Janowi nie mogło przepaść, tylko, że sam nie nosił pieniędzy do kassy, sam też odbierać ich nie może. Ale czemuż nie postępujecie jak mój Paweł, czemuż od początku nie składaliście małych oszczędności do kassy, albo teraz nie zaczniecie tego; a jednak lata upływają i my mamy już w kassie około 1,000 zł., a i wam przyjemnie byłoby posiadać taki kapitalik; przecie jedne mamy fundusze, i pewno my lepiej od was żyjemy.

— Zapewne, rzecze Piotrowa, lepiej żyjecie, co nie znacie ani wypoczynku w poniedziałek, ani kieliszka wódki.

— Powiédz lepiej, ani flaszeczki lub flaszki, przerwała Pawłowa.

W tej chwili wszedł Jan i Paweł.

— Wracamy, mówi Jan, każdy ze swego stanowiska: Paweł od igły, ja od spekulacyi.

— I masz pieniądze? zapytał żywo Piotr.

— Mam, ale posłuchaj zkąd i oceń mój rozum. Paweł poszedł do alkowy, gdzie żona przyrządzała mu obiad, a pozostali w izbie słuchali z zajęciem Jana, który tak mówił:

— Przypominacie sobie, żem kiedyś robił u majstra na Krakowskiem-Przedmieściu, który jako dziwak, chciał czeladzi swej zatrzymywać po parę złotych tygodniowo, aby razem składać do Kassy oszczędności; takiego figla wypłatał mi przez parę tygodni, ale wkońcu powiedziałem mu: hola! już tego dosyć.. moje pieniądze, albo sobie idę gdzieindziej. On nie chciał mi oddać, mówiąc, że może namyślę się, ja też... trudno go procesować, porzuciłem, i tak lat kilka upłynęło. Ale dziś przyrzekłszy wam spacer fundować, biję się z myślami i przypominam sobie mego majstra,

dalej więc do niego; już teraz przynajmniej może być przekonanym, że się nie namyśle.

— O! zapewne, mówi Piotr, ale przynajmniej dobrą masz pamięć.

— Złą pamięć, przerwał Paweł z alkowy, bo przywodzącą do utraty grosza.

— On zawsze moralizuje, rzekła z uśmiechem Piotrowa.

— Otóż, mówi dalej Jan, przybywam do mego dawnego majstra, zastaję kilku czeladzi i naszego moralistę Karola, tak dobrze szyjących, jakby w sobotę przed wypłatą a nie w poniedziałek; mówię mu o pieniądze, a on mi morały, wreszcie sam zajęty robotą zwleka mi, a wkońcu obrachowywa, ile kapitału, ile procentu i wypłaca mi 12 złotych, za które będziemy dziś bawić się na Saskiej Kępie— teraz zaś wracam razem z Pawłem, który przybył na obiad, ale o spacerze nie ma mu co nawet mówić.

W tej chwili dały się słyszeć jakieś głosy rozmawiających za drzwiami.

— To gospodarz domu, rzecze Janowa, z jakimś obywatelem wiejskim, co ma ten dom kupić; musi to być jakiś bogaty człowiek, bo gotówką za dom zapłaci, już od kilku godzin dom ten oglądają.

Wtem drzwi się otworzyły i dwie osoby weszły do izby.

— Jak tu smutno, rzecze obywatel, to biedne piętro, jak tu wszystko ubogie. Na honor zdaje się, że to czwarte piętro zmniejsza wartość domu.

— Dochód z niego jest widoczny, wtrącił gospodarz, a gdy inni tu będą lokatorowie, inny może być porządek. Zaraz przekonam pana o słuszności mego zdania. Oto alkierz należący do tej izby, obejrz go pan; i otworzył drzwi alkierza. Obywatel wszedł do mieszkania Pawłów i stanął zdziwiony.

— Co za uderzająca różnica! rzekł przybyły i z uprzejmością skłonił się Pawłowi i jego żonie. Pan masz słuszność, rzekł do gospodarza, porządek w większej części nie zależy od gospodarza domu, lecz od lokatora. Jak wyjdziemy, dodał ciszej, będę chciał bliższe od pana powziąć szczegóły o tych ludziach.

I poszli dalej dom oglądać.

—

Piotr i Jan ze swemi żonami wybrali się po południu na Saską Kępę, a Paweł przyrzekł im około ósmej wieczorem jako po robocie (korzystając z długiego dnia) udać się z żoną na Solec, aby ich spotkać wracających ze spaceru, gdyż kompania miała się przewieść czółnem z Saskiej Kępy do Warszawy na brzeg od strony Solca.

Pogoda była piękna, zachęcała do spaceru, nasze towarzystwo na Saskiej Kępie bawiło się wesoło; bo też wesołość była ich celem, o nic się nie troszczyli, i jak w całem życiu, tak i teraz o *dziś* tylko dbali. Lecz niedługo Jan spostrzegł, że mu już brak pieniędzy.

Bawiący się dobrze byli zagrzani trunkiem.

— Teraz idźmy do domu, mówi Jan, już też nie mamy ani grosza.

— Ósma godzina nadchodzi, rzecze Piotr, ale niepodobna dotrzymać nam słowa Pawłowi i przeprawić się Wisłą, bo nie mamy pieniędzy na zapłacenie przewoźnikom.

— Niepodobna nam też iść pieszo, dodała Piotrowa, bo nie mamy pieniędzy na zapłacenie mostowego.

— Ha! ha! ha! zawołał Piotr lekkomyślnie, więc zostaniemy się na Saskiej Kępie, to wyborne położenie człowieka bez grosza; otóż jesteśmy mieszkańcami Saskiej Kępy.

— Ale to smutne położenie, przerwie Janowa, trzeba kredytować, wybierajmyż u kogo: u przewoźników, albo też u żyda poborcy mostowego, aby dostać się na Pragę.

— Otóż mam sposób! zawołał Jan: przewieziemy się, a na Solcu czekają nas Pawłowie, to za nas zapłacą.

— Zapewne! mówi Janowa, mój mąż jest pełen dowcipu, ale... jeśli też niema ich na Solcu, albo przynajmniej na brzegu naszej przystani?

— Zawsze jednak, przerwał Piotr, schodźmy nad brzeg Wisły.

I przeszli gęstwinę nadbrzeżnego lasku, a następnie udawszy się nad brzeg rzeki, spostrzegli małe czółno przywiązane do brzegu i dwa w nim wiosła. Przewoźników nie było przy czółnie.

— Niema nikogo, mówi Piotrowa, to i przewieść się nie będziemy mogli. W niedzielę bywa tu wielu przewoźników, ale dziś...

— Niema tego złego, coby na dobre nie wyszło, przerwał Jan; wy to nic nie wynajdziecie, ale ja mam sposób.

— Ach! nową myśl powziął, zawołała Janowa; on mógłby się stać wielkim człowiekiem, gdyby tak był jakim trębaczem w wojsku, lub kwestarzem w klasztorze, ale to krawiec...

— Pleciesz! przerwał Jan, oto ja wam powiem, że bardzo prostym sposobem dostaniemy się do Warszawy i bez żadnego kosztu.

Wszyscy spojrzeli na Jana z zadziwieniem.

— Oto, mówi Jan dalej, wsiądźmy w to czółno, są w niem wiosła, to i sami przeprawimy się na drugą stronę.

— To niedobrze, rzecze Piotrowa, a jeśli też nas dogonią inni przewoźnicy.

— Ja nawet nie umiem wiosłem robić, dodał Piotr niechętnie.

— To rzecz mała wiosłem robić, rzekł Jan i ja w tem nie jestem mistrzem; jednakże, cóż wielkiego. Odbijemy od brzegu,później będziemy się kierować pod wodę, a przybywszy pod brzeg Warszawy, gdzie jest war, to i popłyniemy z wodą ku lądowi. Gonić zaś nikt nas nie może, bo niema przy brzegu drugiego czółna; gdyby nawet przewoźnicy zobaczyli, to wpław się za nami nie rzucą, a dobrze też, że i przewoźnicy raz sobie pieszo przez most pójdą do Warszawy. Może oni nawet mają interesa na Pradze, dobrze, że je załatwią przy tej okazyi.

— Awięc dobrze! dodała Janowa, płyńmy, płyńmy, bo się zbiera na deszcz. U brzegu pod Warszawą przywiążemy tak samo to czółno, przewoźnicy go sobie znajdą, a i cóż tak będzie złego, że sobie pożyczymy czółna?

I z tą myślą wszyscy weszli do czółna. Jan odwiązał go od palika wbitego u brzegu, podał jedno wiosło Piotrowi, sam wziął drugie, i już odbili kilkanaście sążni od brzegu, gdy ukazali się przewoźnicy i z brzegu Saskiej Kępy głośnemi wołaniami chcieli ich nakłonić do powrotu.

— Znajdziecie to czółno u brzegu na Solcu, wołał Piotr na całe zaspokojenie przewoźników.

Brzeg Saskiej Kępy usuwał się oczom naszych żeglarzy, a nawzajem brzeg Solca dawał się już lepiej widzieć. Odróżniali na nim kilka postaci, z których jedna dawała znaki powiewem białej chustki, w dowód, że ich poznaje.

Pawłowa jest na Solcu, mówi Piotrowa, to ona nam daje znaki.

I również powiewem białej chustki odpowiedziała na znaki ze strony Warszawy. Powitania z brzegu Solca powtarzały się, a z brzegu Saskiej Kępy dolatywały złorzeczące wołania.

Bierz się na prawo! woła Jan na Piotra, tak... rób wiosłem od siebie jak ja. Czółno tymczasem dwa razy przekręciło się na wodzie.

— To nie tak! woła Piotr, co to jest ręka niewprawna, dalej Janie odpychaj się ode dna.

— Zapewne! ode dna, a dno daleko, mógłbym wlecieć w wodę.

Słońce już wówczas zachodziło, a chmura groziła deszczem ulewnym, a może i nawałnicą. Nasi żeglarze płynęli wolno. I wkrótce spadł deszcz ulewny... Nie widać było ani powitań Pawłowej, ani słychać złorzeczenia przewoźników. Teraz trzeba było walczyć z rozhukanym żywiołem.

Od strony Warszawy na Solcu w rzeczy samej Pawłowa dawała znaki powiewem chustki, poznając, albo raczej domyślając się, ktoby mogli być ludzie powracający z Saskiej Kępy.

Słońce zakrywające się chmurą i lekki wiatr zachodni zapowiadający desz ulewny, skłoniły Pawłów udać się pod wystawę domu zbudowanego na brzegu Wisły, i ztamtąd mieli śledzić ruchy naszych podróżników, gdy niespodzianie spostrzegli pod tąż wystawą człowieka porządnie ubranego, którego rysy nie zdawały się być im obcemi.

Nieznajomy spojrzał również z zajęciem na Pawłów i lekko skłoniwszy się, rzekł:

— Jeśli się nie mylę, to mam przyjemność spotkać państwa Pawłów ze Starego-Miasta?

— W rzeczy samej, odparł Paweł, mam przyjemność poznać pana dobrodzieja, jako przyszłego właściciela domu, w którym mieszkamy.

— Już jestem nim, przerwał obywatel (on to był bowiem); dziś podpisałem akt nabycia, myślę więc i z państwem ukończyć interes, i podam ku temu projekt. Lubo to niestosowne miejsce, ale krótko bawić będę w Warszawie, chcę więc korzystać z naszego spotkania.

— Słuchamy pana, odrzekli z ciekawością.

— Dziś, oglądając dom, mówił obywatel, byłem mocno zdziwiony widokiem czwartego piętra, gdzie obok całego nieładu i nieporządku współ-lokatorów państwa, znalazłem u was ład i czystość. Kupiłem ten dom; przymuszony interesami, będę w nim mieszkał, ale też często i wydalać się będę z Warszawy. Podziwiając czystość pani Pawłowej, postanowiłem prosić ją, czyby nie przyjęła obowiązku zarządu mego szczupłego gospodarstwa tu w Warszawie, i zarazem chcę zaproponować jej mężowi, aby podniósł pieniądze swe z Kassy oszczędności i założył warsztat. Ja dam mu na moje risico mieszkanie w mym domu, za które zapłaci mi, jak się dorobi, będę jego komptmanem i zapewniam mu pomoc, a reszta jest w ręku Boga, który wspiera dobre chęci i pomaga ludziom cnotliwym a pracowitym. Tym sposobem będziemy mieli wspólny interes, aby się nie opuszczać, i ja spokojnym będę o swój dom w Warszawie.

Przedstawienie to, jak widzicie, było takie, że go niepodobna było nie przyjąć. Paweł, co zawsze dążył do dobrego, dla czegóżby nie miał pragnąć polepszenia swego bytu, przy tak dogodnych warunkach?

— Kontent jestem, rzekł obywatel, że już dziś pomówiłem z państwem o interesie, który jutro miałem im przedstawić, gdyż u mnie czas drogi, dobrze więc, że i ze spaceru skorzystałem. Ale otóż i deszcz ulewny, a należy się burzy spodziewać.

— Burza pewna, odrzekł Paweł i na nieszczęście nasi krewni są na środku Wisły na wątłej łodzi, bez przewoźników, bo tylko cztery widać osoby... Ale ściemnia się... wiatr się podniósł, i otóż ich prawie nie widać. Mój Boże jak rosną fale Wisły i jak straszną przybierają postać, oni będąc sami, mogą utonąć, bo wiem, że nawet wiosłem robić nie umieją.

W tej chwili zagrzmiało i piorun rozległ się zdala. Kilka błyskawic przepruło chmury, a przy ich świetle Pawłowie z brzegu ujrzeli naszych żeglarzy na wątłej łodzi, unoszonej falami, których byli igrzyskiem.

— To nad siły moje! zawołał Paweł, oni utoną... Hola chłopcy! zawołał na przewoźników, którzy tam również przed burzą ukryli się, hola! wy macie duże czółno, wynagrodzę was, a płyńmy w imię Bożeby ratować tych nieszczęśliwych.

Jan częstem wołaniem napominał Piotra, jak ma wiosłem działać, ale głos jego przy szumie wiatru nie dochodził nawet uszów jego. Łódź co chwila staczała się z piętrzących fali, a siła zmiennego wiatru miotała nią w różne strony rzeki; niepostrzeżenie napełniała się łódź wodą.

Janowa odmawiała pacierze, Piotrowa śpiewała: *Kto się w opiekę poda Panu swemu*, a Piotr czyniąc znak krzyża Sgo, przypadkiem wypuścił wiosło. Rozpacz zdawała się rozdzierać jego serce, rzucił się na kolana przy swej żonie, i słysząc jej pieśń, z pełną ufnością zaczął wtorować jej nucie. Jan bezwładnie i bezużytecznie robił wiosłem i z trwogą odmawiał pacierze. Wody coraz więcej nabierało się w ich małe czółenko.

— Zginiemy, moja droga, mówi Piotr do swej żony, otóż to nasze poniedziałkowanie, kiedykolwiek trzeba było spodziewać się jakiego ztąd nieszczęścia.

— Miejmy nadzieję, Bóg Wszechmogący nas uratuje, ale przyrzeczmy poprawę. I wzniosłszy oczy ku niebu, z natchnieniem wzruszonej duszy, umysłem trwogą przejętym i bijącem sercem czekali pomocy. Lecz w tej chwili łódź przepełniona wodą schodziła pod fale, a nagłe poruszenie pogrążało ją w odmęt wiślany. Wstrząśnienie owo, sprawiło wielkie czółno, dążące im na ratunek, a Paweł w chwili niebezpieczeństwa schwycił Piotra za ramię wraz z żoną i wciągnął na swój statek.

— Gdzie Janowa? zawołał Paweł.

W tej chwili dwoje nieszczęśliwych już tonęło w Wiśle. Przewoźnicy spostrzegłszy ich, skierowali czółno w tę stronę. Już tylko suknia Piotrowej ukazała się nad powierzchnią wody. Jeden z przewoźników, dzięki swej rzutności, zaczepił ją wiosłem; potrafił on zręcznie nasuwać wiosłem ku sobie, a Piotr w stosownej chwili schwycił suknię i przy pomocy przewoźnika i Pawła wyciągnął z wody Janowę, a z nią jej męża, który ją trzymał. Oboje byli prawie bez znaków życia. Paweł przybił szczęśliwie do brzegu. Burza ucichła powoli, wiatr ustał i tylko strumienie wody spływały z pochyłych ulic ku Wiśle.

We dwa miesiące po tym smutnym poniedziałku, w mieszkaniu na Starem-Mieście, tam, gdzie wprzód byliśmy na czwartem piętrze, zupełna stała się odmiana.

Paweł tam już nie mieszkał, obywatel bowiem znany z opowiadania, kupiwszy dom, zajął dla siebie kilka pokoi na pierwszem piętrze, Pawłowa wzięła zarząd gospodarstwa jego, a Paweł otworzył zakład krawiecki pod swem imieniem w tym samym domu, stosownie do umowy z właścicielem domu.

Znowu wprowadzamy czytelnika w poniedziałek na czwarte piętro, ale jak wspomnieliśmy, zupełna tam odmiana. Wszędzie był ów porządek, owa czystość, właściwa wówczas tylko alkierzowi. Byłoto dziełem Piotra i jego żony, którzy od owego wypadku dotrzymali ślubu uczynionego, pozbyli się złych nałogów, wynagrodzili stratę zrządzoną przewoźnikom zagubieniem im łodzi, która gdzieś ku Gdańskowi poszła. I lubo to poniedziałek, jak zwykli byli dawniej mówić, teraz Piotr był u roboty w warsztacie Pawła, a żona jego w alkierzu, obecnem swem mieszkaniu, zajętą była szyciem powierzonej sobie bielizny.

Smutny jednak był widok w drugiej izbie: Janowie leżeli złożeni chorobą od czasu nieszczęsnego poniedziałku. A posłuchajmy ich rozmowy:

— Mój mężu! rzekła Janowa, uczyńmy postanowienie poprawy życia po naszej chorobie, a może miłosierny Bóg przyspieszy nam powrót do zdrowia.

— O! moja żono, uprzedzasz tylko myśli moje; źleśmy dotąd żyli, w próżniactwie i hulankach, Bóg nas dotknął, aby nas powrócić do Siebie, korzystajmy z łaski Jego.

I w gorącej modlitwie ślubowali Panu wyrzeczenie się złych nałogów oraz prowadzenie odtąd życia pracowitego. Niedługo potem oboje przyszli do zupełnego zdrowia.

W połowie r. 1856, Paweł przeniósł swój warsztat już od roku na ulicę Długą; właściciel bowiem dla swych widoków dom sprzedał i stale zamieszkał na wsi, nie potrzebował zatem nikogo do zarządu swego gospodarstwa. Teraz Paweł zjednał sobie zaufanie i ma ciągłą robotę. Piotr i Jan robią w jego warsztacie. Jan i jego żona dotrzymują ślubu danego Bogu. Dziś nikt już nie mógłby pomyśleć, że kiedyś ci ludzie wiedli życie nieporządne, oddając się próżniactwu i hulatyce. Dziś rośnie grosz w Kassie oszczędności; nie opuszczają w niedzielę kościoła i bawią się wesoło, lecz skromnie na spacerze.

Wiliam Preacher (Preczer).

Zamierzywszy w piśmie naszem udzielać, o ile możność dozwoli, wiadomości o życiu i dziełach ludzi, krajowemu przemysłowi zasłużonych, rozpoczeliśmy ich szereg życiorysem śp. Filipa de Girard, zamieszczonym w nrze 12 Czytelni Niedzielnej z r. b. Z kolei podajemy wam obecnie krótki rys życia Wiliama Preacher, ostatnio naczelnika zarządzającego fabryką machin na Solcu w Warszawie, jako niemniej dobrze zasłużonego temuż przemysłowi.

Wiliam Preacher, urodził się dnia 9 lipca 1794 r. w Edynburgu, stolicy Szkocyi, jednej z trzech królestw składających państwo Wielkiej Brytanii. Rodzice troskliwi o przyszły byt syna, powzięli od dziecinnych jego lat myśl kształcenia go w zawodzie mogącym zabezpieczyć lepiej od innych przyszłość; tym celem oddali go do szkoły wyższej mechaniki, w której młody Wiliam chlubnie ukończył nauki.

Z zasobem nabytych wiadomości technicznych, Preacher ukończył szybko praktykę w najsłynniejszych fabrykach Szkocyi i Anglii, tak iż w 22gim roku życia doszedł do stopnia mechanika.

W r. 1818, jenerał hrabia Pac, w czasie bytności swej w Anglii poznał go był osobiście, a oceniwszy trafnie znakomite zdolności młodego Wiliama, jako gorliwy obywatel o rozwój przemysłu krajowego, zobowiązał go do wyjazdu do Polski, zapewniając mu na początek kilkoletnie zajęcie przy odpowiedniem wynagrodzeniu w rozległych swych włościach. Preacher tak zapewniony w tym jeszcze roku przybył do tutejszego kraju, i zajął się zaraz gorliwie zaprowadzeniem rozmaitych zakładów przemysłowych, jako to: młynów, tartaków, olearni, fabryki narzędzi rolniczych, i t. p. w dobrach hrabiego.

Po czterech latach mozolnej tej pracy, kiedy się w zupełności z przyjętych zobowiązań wywiązał, powołany został na mechanika do fabryki machin, przez braci Evans w Warszawie założonej. W fabryce tej pozostając lat cztery, miał sposobność dać się poznać ówczesnemu ministrowi Skarbu księciu Lubeckiemu, który go do przyjęcia obowiązków mechanika w służbie rządowej skłonił.

W r. 1826, już jako mechanik rządowy, miał sobie zleconem urządzenie warsztatów mechanicznych w fabryce tutejszej na Solcu, a skoro przy tak ważnem dziele, okazał rozległe praktyczne wiadomości, książę minister poruczył mu następnie w r. 1828 zaprowadzenie na wielką skalę takichże warsztatów w fabryce Białogon pod Kielcami.

Mało komu znaną nie jest ta słynna, jedna z najdawniejszych zakładów rządowych fabryka, z doskonałości swoich wyrobów, którą głównie zawdzięcza niezmordowanej troskliwości i staraniom Wiliama Preachera, co ją do tego stopnia rozwinął, iż 300 przeszło rzemieślników znajdowało w niej stałe zajęcie, przy budowie wszelkiego rodzaju machin, apparatów i narzędzi rolniczych. Ona to pierwsza rozpoczęła na wielką skalę fabrykacyę blachy pobielanej, w którą się poprzednio kraj z fabryk angielskich zaopatrywał. Odlewnia żelaza wzorowo urządzona dostarczała mnóstwa ozdób dla architektury, według najpiękniejszych modeli wykończonych, a wszystkie znaczniejsze fabryki krajowe mogły się w niej zaopatrywać odtąd w wielkie kotły z blachy bądź żelaznej bądź miedzianej, po jakie wprzódy za granicę udawać się musiały.

Przechodziłoby zakres tego pobieżnego wspomnienia wyliczenie, ile włości krajowych i pogranicznych zaopatrzyło się w doskonałe machiny i narzędzia rolnicze z tego zakładu; ograniczymy się więc jedynie na zwróceniu uwagi, iż przez to kraj nasz nietylko zaoszczędzał rok rocznie milionowe summy, które dawniej za granicę na zakup tego rodzaju maszyn i narzędzi wychodziły, lecz nawet zyskiwał znakomitą gotowiznę za wyroby swe wysyłane głównie do cesarstwa.

Preacher szczególniejszą też wziętość pozyskał w kraju; znali go dobrze i ufali nieograniczenie tak starsi jak i poczynający gospodarze i fabrykanci. Pracujących w zakładzie Białogon rzemieślników, doświadczonym a trafnym i troskliwym kierunkiem potrafił tak dalece wykształcić, iż wielu z nich w odległych od Białogonu okolicach zdołało na małą skalę wyrabiać odwzorowane z tego zakładu machiny i narzędzia, a zaopatrując w nie tym sposobem rozmaite strony kraju, zapobiedz zbytecznemu wzrastaniu ich ceny. Kochali go też podwładni jak ojca i dobroczyńcę, kraj zaś cały oddawał zasłużoną sprawiedliwość jego usiłowaniom.

Bank Polski w czasie zarządu swego górnictwem, wysyłał po kilka kroć Preachera za granicę w celu przyswojenia krajowi coraz to nowych ulepszeń i wynalazków W latach od 1833 do 1842 powierzył mu wyrób, dla kilku nowych zakładów górniczych głównych, maszynerye do hutniczego działania. W r. 1834 chlubnem poświadczeniem ważnych jego dla rządowego górnictwa usług, wyjednał mu order Sgo Stanisława klassy IV, którym obdarzony został.

W r. 1846, powołany został do prowadzenia jedynego w kraju zakładu wyrobu stali, kos i sierpów w Serocku pod Lubartowem, gdzie pozostając do r. 1855, doprowadził tego rodzaju wyroby do równej zagranicznym doskonałości.

W r. 1856 objął powtórnie kierunek fabryki machin na Solcu, którą był przed 20 laty urządził, i w niej też z końcem miesiąca Stycznia 1858 r. dokonał cnotliwego a pracowitego żywota, w 64 roku życia, z wielką dla krajowego przemysłu, niepowetowaną zaś dla rodziny i przyjaciół stratą.

Kto był świadkiem, jak liczny poczet odprowadzał szanowne zwłoki Preachera na miejsce wiecznego spoczynku, i z jak serdecznym żalem świadczono mu tę ostatnią posługę, to przyzna wraz z nami, iż zacnym być musiał człowiekiem ten, co na podobny żal zasłużyć sobie potrafił.

Świątobliwe niewiasty.

V.

MARYA-KLEMENTYNA STUART.

Urodzona z Jakóba Sobieskiego, syna Jana III króla Polskiego i z Jadwigi Elżbiety księżniczki Neuburskiej na Szląsku w Olawie. Staranne odebrała wychowanie w domu rodzicielskim, odznaczała się z młodości rozumem, dobrocią serca, skromnością i szczególną pobożnością. Wstąpiła w związki małżeńskie z Jakóbem Stuart pretendentem do korony Angielskiej i zamieszkała w Rzymie, gdzie ślub jej przez posła poprzednio tylko zawarty, Klemens XI Papież solennie potwier-

dził; przed tym obrzędem ceremonię naprzód chrztu odprawiwszy, nadał jej drugie imie Klementyna.

Ta wielkiej pobożności niewiasta, gdy mąż jej wydalał się z Rzymu, cały czas spędzała w klasztorze, siostry duchowne zdumiewając przykładnem życiem i wzorową pobożnością.

Przeżywszy lat pięć w królewskiej wspaniałości, uznawszy próżność rzeczy doczesnych, pogardziwszy znikomą wystawą, obrała życie spokojne, a naprzód wszelkie bogate stroje, klejnoty oddawszy na ozdoby świątyń pańskich, wdziała skromne szaty i poświęciła się jedynie modlitwie i dobrym uczynkom; przestała uczęszczać po widowiskach i balach, gdzie była ozdobą, i w pałacu jako w klasztorze przebywała, z którego wydalała się tylko do kościołów.

Rano pani ta wstawała i sama się ubrawszy, modliła się, aż póki nie wstały jej służebne, których nigdy dla siebie nie budziła.

Mszy kilka codziennie słuchała, następnie czytywała książki duchowne, a godziny po obiednie poświęcała ręcznej pracy, wyszywając kościelne apparaty, albo koszule i odzienie ubogim; pilnie bowiem przestrzegała tak w sobie jako domownikach, próżniactwa.

Wstrzemięźliwa w pokarmach raz tylko na dzień jadała i to potrawy pospolite bez żadnych przypraw; w mowie ostrożna, o cudzych złych sprawach i mówić i słuchać nie chciała. Dzieci swoje kształciła w cnocie i pobożności.

Nawiedzała codziennie miejsca święte w Rzymie, bez względu na zmiany powietrza, spowiadała się trzy razy na tydzień i do komunii świętej przystępowała z taką gorącością ducha, jakby ją raz ostatni przyjmować miała.

Często nawiedzała klasztory panien zakonnych, które budowała pobożnością, zwiedzała i szpitale, gdzie opatrywała chorym rany, czyniąc im posługi, jako też wspierając hojną jałmużną.

Od ostrego życia nie mogły odwieść Klementyny ani prośby kochającego ją męża, ani przedstawienia przyjaciół.

W takiem umartwieniu trzydziestego drugiego roku dobiegłszy, zapadła ciężko na zdrowiu i gotowała się odważnie na śmierć, troszcząc się jedynie o to, z jakiemi zasługami stanie przed Bogiem.

Nareszcie pożegnawszy męża, zaleciwszy synom swoim miłość Boga i cnoty, a dla ojca przywiązanie i uległość, przeprosiwszy przyjaciół i domowników i otrzymawszy rozgrzeszenie papiezkie z odpustem zupełnym, zmarła roku 1736.

Podczas jej choroby cały Rzym był w smutku, ustały igrzyska, i widowiska. Papież nakazał po kościołach publiczne supplikacye, na które wielkiemi tłumami zgromadzali się mieszkańcy. Gdy umarła, Ojciec święty uczcił pamięć jej łzami, wyrzekłszy, że jedyna ozdoba Rzymu i wzór pobożności zniknął w Klementynie. Niebawem też Papież za jej dusze nakazał exekwie po wszystkich kościołach, a wkrótce potem pogrzeb publiczny w kościele dwunastu apostołów; pomieniony pogrzeb wielkim nakładem Ojca świętego odprawił się.

Po trzech dniach obchodu żałobnego ciało tej pani przeniesione zostało do Bazyliki Watykańskiej Sgo Piotra Apostoła; na solenną processyę Rzym prawie cały wyszedł, również assystowało jej całe duchowieństwo od najwyższych prałatów, biskupów, patryarchów, kardynałów kościoła świętego.

Gdy zaś bractwa się szykowały do pochodu pogrzebowego, najpierwsze miejsce dał w nich ojciec Święty bractwu świętego Tryfona, które się zaszczycało herbami i protekcyą króla Polskiego, i w nim natenczas szli wszyscy polacy obecni w Rzymie. Ciało tej pani z rozkazu papieża złożone zostało na Watykanie niedaleko grobu Sgo Piotra, to jest tam, gdzie chowani bywają papieże i królowie niektórzy. Kardynał zaś Albani dla uczczenia jej pamięci wspaniały nagrobek z kosztownego marmuru wystawił

Pani ta była matką dwóch synów: Karola Edwarda książęciem Walii nazwanego, którego urodzenie Rzymianie z wielkiemi okrzykami obchodzili, jako też Henryka księcia Eboracińskiego, którego sam papież trzymał do chrztu.

Ten przyjął z czasem stan duchowny i był kardynałem kościoła Rzymskiego.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 20 kwietnia (2 maja) 1859 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*